



Koszyk pani Otylii

Gdybyś tak się w ten świat dobrze wsłuchał,
mógłbyś nawet usłyszeć, co sto lat temu mówili (...)
Bo słowa śmierci nie znają

Wiesław Myśliwski, *Kamień na kamieniu*

Klada – wielka księga handlowa dawno ukryta w szufladzie. Na jej kartach wyblakłe słowa sprzed stu lat, drobne, na pozór nic dziś nieznaczące zapiski pani Teodozji Szumskiej – szanowanej właścicielki składu kolonialnego we Wronkach.

Sklep Walentego Degórskiego był stałym elementem życia podpoznańskich Wroniek od lat 50. XIX wieku i z roku na rok umacniał swoją pozycję w okolicy. Już „Wiarus” z roku 1873 kierował wszystkich do „powszechnie tu lubianego Pana Degórskiego”¹. Po śmierci pana Walentego w roku 1880 skład został sprzedany rodzinie Szumskich, która prowadziła go aż do roku 1928 – zachowując jednakże znaną i szanowaną markę W. Degórski.

Pani Teodozja i zatrudniani przez nią subiekci uwiecznili w księdze handlowej² codzienne, imienne listy zakupów dokonywane przez mieszkańców Wroniek i okolic w latach 1914–1918. Nieświadomie umieścili tam również opowieść o czasach i miejscu, o zwykłym dniu pradiadów, o latach Wielkiej Wojny i latach wielkich przemian. Opowieść, którą nieśpiesznie snuje... koszyk pani Otylii.

* * *

Elegancka, obszerna willa przy ulicy Poznańskiej we Wronkach niegdyś tętniła życiem. Dzieci jednak dorosły i opuściły gniazdo, mąż – budowniczy i projektant Maksymilian von Wilczewski – zmarł kilka lat wcześniej.

Dziś 62-letnia pani Otylia³, planując listę zakupów, uwzględnia oprócz siebie

¹ „Wiarus. Pismo dla średniego stanu polskiego” 1873, nr 124, s. 1.

² Klada – księga handlowa składu kolonialnego Szumskich. Oryginał księgi jest w posiadaniu wnuczki pani Teodozji Szumskiej, ówczesnej właścicielki składu.

³ **Otylia von Wilczewska z domu Degórska**, córka Walentego i Antoniny Bossmann, ur. 17.10.1852 we Wronkach, zm. 30.03.1928 we Wronkach, żona Maksymiliana – architekta, budowniczego oraz współzałożyciela i dyrektora Banku Ludowego we Wronkach, matka Zygmunta – pierwszego burmistrza Wroniek z ramienia Rady Ludowej po odzyskaniu niepodległości (inf.: rodzina Wilczewskich).



Ryc. 1. Kamienica Walentego Degórskiego. Ze zbiorów Muzeum Zamek Górków w Szamotułach

tylko mieszkającego z nią syna Zygmunta, który przejął po ojcu firmę budowlaną oraz kilka osób ze służby.

Długoletnia rodzinna tradycja nakazuje nabyć zaplanowane towary w składzie „W. Degórski”, o ile oczywiście asortyment sklepu na to pozwala. Ostatnio ograniczeniem jest już jednak nie tylko asortyment kolonialny, pojawiły się również dodatkowe utrudnienia w zaopatrzeniu spowodowane Wielką Wojną.

* * *

Pierwszą ofiarą wojny niewątpliwie stała się mąka. Już od pierwszych stron Klady – czyli od października 1914 roku, prawie nieosiągalna. W listopadzie i grudniu pani Otylii udało się zakupić jedynie niewielką ilość mąki kartoflanej za 25 fenigów. Mąka pszenna zdrożała niewiele, bo zaledwie 2 fenigi w stosunku do ceny z roku 1910⁴, ale cóż z tego, skoro i tak była niedostępna. Dodatkowo – w styczniu 1915 roku – rozporządzeniem Rady związkowej wręcz zabroniono sprzedaży mąki pszennej, żytniej, owsianej, jęczmiennej i rżanej – celem zaoszczędzenia jak największej ilości zboża⁵. Rzut oka w koszyk pani Otylii potwierdza skuteczność zakazu, znajdujemy w nim jedynie sporą ilość mączki ryżowej i niewielką mąki kartoflanej.

Z ciekawostek: zakazano również nocnej pracy w piekarniach i cukierniach – co zupełnie pozba-

wiło Wielkopolan porannego świeżego pieczywa⁶. Początkowo pocieszano się, że choć nie będzie świeżych bułeczek do porannej kawy, to będą do popołudniowej⁷, część społeczeństwa przerzuciła się też wskutek rozporządzenia na chleb. Niestety i świeżego chleba wkrótce zabrakło, gdyż wolno go było sprzedawać dopiero po upływie 24 godzin od upieczenia. „Dziennik Poznański” ze zdumieniem wówczas doniósł, iż nowe rozporządzenie wyrządziło krzywdę konsumentom⁸.

Niedługo potem musiał się zdziwić jeszcze bardziej. Do wypiekania chleba zakazano bowiem stosowania mąki wyborowej. Chleb pszeniny musiał zawierać 30% mąki rżanej, dodatkowo mąka pszenna aż do 20% mogła być zastąpiona mąką ziemniaczaną, suszonymi płatkami ziemniaczanymi lub ziemniakami świeżymi. Podobny skład miał chleb żytni i placek pszenno-żytni, a także... ciastka. Powyższe przepisy odnosiły się nie tylko do piekarzy, ale również do osób prywatnych wypiekających w domu, a więc i naszej bohaterki⁹.

Oryginalne składniki pieczywa nie zasmakowały zresztą nikomu. Powszechnie skarżono się na niesmaczny chleb i bułki i coraz ciemniejszy ich wygląd¹⁰. „Wielkopolanin” podsumował to krótko: skoro pieczywo nie smakuje i spożywa się go

⁶ „Dziennik Poznański” 1915, nr 5, s. 2.

⁷ „Kurier Poznański” 1915, nr 11, s. 3.

⁸ „Dziennik Poznański” 1915, nr 19, s. 2.

⁹ „Dziennik Poznański” 1915, nr 7, s. 3; „Dziennik Poznański” 1915, nr 9, s. 3; „Dziennik Poznański” 1915, nr 51, s. 3; „Dziennik Poznański” 1915, nr 62, s. 3.

¹⁰ „Dziennik Poznański” 1915, nr 148, s. 2.

⁴ *Statystyczna karta historii Poznania*, red. K. Kruszka, Poznań 2008, s. 78.

⁵ „Dziennik Poznański” 1915, nr 21, s. 2; „Wielkopolanin” 1915, nr 23, s. 3.

mniej, to znaczy, że zarządzenia rządowe trafiły w sedno. Bez szafowania zbożem – głód nikomu nie grozi¹¹.

„Wielkopolanin” mógłby pochwalić panią Otylię – w jej przypadku kwestia mączna w 1915 roku nie wyglądała lepiej niż w końcu 1914 roku. Przez cały bowiem rok wydała na mąkę jedynie 6 marek 45 fenigów. Kupiła wówczas 14 opakowań mączki ryżowej, tyle samo mąki kartoflanej i jedynie 3 opakowania mąki pszennej. Mąka kartoflana – już wówczas będąca znaczącym składnikiem pieczywa – była zresztą dostępna dopiero od marca, mąka pszenna pojawiła się w lipcu – jednak tylko na chwilę.

Uzasadnieniem dla częstych zakupów niewielkich ilości mąki była nie tylko jej ograniczona dostępność (akurat dla bardzo zamożnej pani Otylii cena nie była raczej problemem), ale również ciekawe, często pojawiające się nowe rozporządzenia. Kto nie wiedział, kto nie nadążał za zmianami – tego czekała mało wygodna ceka lub znaczne uszczuplenie własnych zasobów finansowych.

Już na początku 1915 roku magistrat poznański nakazał bowiem zgłaszanie wszelkich zapasów mąki pod karą więzienia do pół roku lub grzywny 1,5 tys. marek zwiększonej później do 10 tys. marek. Magistrat był także uprawniony do rewizji i konfiskaty mąki niezgłoszonej. Konfiskacie nie podlegały jedynie zapasy do 2 centnarów¹² – więc na ogół nie dotyczyło to domów prywatnych¹³. Pozostałym gminom pozostawiono jednak prawo do rekwirowania zapasów przekraczających pół centnara¹⁴. Pani Otylia musiała więc być bardzo ostrożna. Zapasy można było zresztą kupować do 18 lutego, potem wprowadzono sprzedaż mąki i pieczywa tylko za znaczkami (16 znaczków po pół funta¹⁵ dla każdej osoby na 2 tygodnie)¹⁶. Niedługo później zarządzono sprzedaż ze znaczkami również ciast¹⁷.

Wprowadzono system cen maksymalnych, co miało pomóc w opanowaniu gwałtownej podwyżki cen wywołanej wojenną paniką na rynku. Ukarany za walkę z systemem został wówczas przykładowo poznański handlarz mąki Józef Reich, sprzedający

mąkę piekarzom drożej niż nakazywało rozporządzenie. Prokurator wniósł o 300 marek grzywny, sąd jednak okazał się surowszy i zubożył handlarza o 500 marek¹⁸.

Tuż po pierwszej wojennej Wielkanocy Wielkopolanie, udręczeni znaczkami na mąkę i jej ceną, usłyszeli wreszcie plotkę, że mąka stanieje od kwietnia. Plotkę puścił dziennikarzom podsekretarz stanu z pruskiego ministerstwa finansów¹⁹. O dziwo, kilka dni później wojenna spółka zbożowa rzeczywiście zaniżyła ceny mąki, zaznaczając jednakże, że ceny będą nierówne w całej Rzeszy²⁰. W Wielkopolsce cena mąki rżanej została obniżona o 25 marek na tonie, mąki pszennej o 50 marek na tonie. Okazało się bowiem, że wskutek wcześniejszych oszczędności mąki pszennej było więcej niż przypuszczano²¹.

Nasza bohaterka kupiła więc w lipcu aż 3 funty mąki pszennej – rarytas nie widziany od początku wojny. W gruncie rzeczy niewielką ilość nabytej mąki uzupełniła pani Otylia zakupem dużej ilości kasz: perłowej, jęczmiennej, ryżowej, kaszki pszennej i taterczej (czyli dzisiejszej gryczanej). Kasze najwyraźniej nie przeszkadzały wysiłkowi wojennemu, gdyż ani nie były ograniczane, ani nie doszło do skokowego wzrostu ich cen. Kaszka perłowa nie tylko nie zdrożała aż do 1916 roku, ale w grudniu wspomnianego roku nawet znacznie staniała. Do naszego koszyka często trafiały również makarony, w tym makaron włoski, oraz ryż i łazanki.

Warto podkreślić, iż to właśnie cena ryżu szybowała najwyżej i najszybciej. Według *Statystycznej karty historii Poznania* kilogram ryżu podrożał między rokiem 1910 a 1914 o przeszło 100%²². Nasza bohaterka nabyła w listopadzie i grudniu 1914 roku 14 opakowań ryżu po 45 fenigów za opakowanie. W sierpniu 1915 roku w koszyku znalazł się już ryż po 80 fenigów, w grudniu – jego cena wzrosła do 1 marki 20 fenigów. W domu jednak ryż musiał być niezależnie od ceny, pani Otylia serwowała go z rodzynkami i cynamonem, ugotowany w mleku, słodki i pachnący.

Skoro mąka staniała, to oczywistym absurdem następczym było dzienne ograniczenie zapotrzebowania mąki do 200 gramów na osobę. Ponadto, w celu zaoszczędzenia tym razem ziemniaków, zezwolono na zastąpienie ich w piekarniach mąką z fasoli, mąką z bobu i grochu, śrutem jęczmienne-

¹¹ „Wielkopolanin” 1915, nr 20, s. 3.

¹² Centnar niemiecki pruski = 51,45 kg.

¹³ „Dziennik Poznański” 1915, nr 26, s. 2; „Wielkopolanin” 1915, nr 27, s. 3.

¹⁴ „Wielkopolanin” 1915, nr 36, s. 3.

¹⁵ Funt pruski = 0,5 kg.

¹⁶ „Dziennik Poznański” 1915, nr 34, s. 2; „Kurier Poznański” 1915, nr 35, s. 3.

¹⁷ „Kurier Poznański” 1915, nr 45, s. 3.

¹⁸ „Dziennik Poznański” 1915, nr 115, s. 3.

¹⁹ „Wielkopolanin” 1915, nr 72, s. 3.

²⁰ „Wielkopolanin” 1915, nr 74, s. 3.

²¹ „Dziennik Poznański” 1915, nr 107, s. 2.

²² *Statystyczna karta historii Poznania*, op. cit., s. 78.

nym, mąką jęczmienną, owsianą, ryżową lub mąką z sago²³. Faktem jest, że można było przeżyć na takim pieczywie, ale człowiek dość szybko zaczynał tego żałować. Żeby zjeść smacznie – pani Otylia musiała upiec chleb w domu.

Żeby jej to dodatkowo utrudnić, w grudniu 1915 roku – tuż przed kolejną wojenną Gwiazdką – zabroniono wypiekania placków aż do 8 stycznia pod karą 6 miesięcy więzienia lub grzywny aż do 15 tys. marek²⁴. Była to najprawdopodobniej najwyższa kara finansowa, którą wówczas grożono – widać więc, jak groźny był wielkopolski pszenny placek dla bezpieczeństwa Rzeszy.

Sytuacja polepszyła się w maju 1916 roku. Urząd zbożowy Rzeszy postanowił wydać miastom więcej towarów mącznych, np. makaronu, po stosunkowo niskich cenach²⁵. Jednocześnie jakby dla równowagi nasiliły się rewizje w piekarniach. Przykładowo tylko w maju policja obezwładniła i aresztowała w Inowrocławiu 21 groźnych placków i oddała do miejscowych lazaretów wojskowych dla rannych żołnierzy²⁶. Lepiej wyglądał też koszyk naszej bohaterki – przez cały 1916 rok kupiła 79,5 opakowania różnych kasz, za łączną kwotę prawie 29 marek. Samej mąki pszennej nabyła dwukrotnie więcej niż w roku wcześniejszym – jednak cały jej zakup przypadł tylko na jeden dzień, kiedy to mąka zawitała wreszcie na chwilę do Wronek. Dwukrotnie wzrosły niestety również ceny – w marcu 1915 roku za 60 fenigów pani Otylia kupiła dwa opakowania mąki kartoflanej, w marcu 1916 roku – już tylko jedno. Uzupełniając zakupy mączne, nabyła makaron, w tym makaron włoski, za sumę 12,05 marek, kaszę perłową, jęczmienną, taterczą, kaszkę ryżową i pszeną za ponad 32 marki i niestety tylko jedno opakowanie ryżu.

Ryż był zresztą wówczas dość niebezpieczny. Od kwietnia 1915 roku obowiązywał nakaz zgłaszania jego zapasów – bezpieczniej było chyba nie posiadać go zbyt dużo naraz²⁷. Niebezpieczeństwo dotyczyło jednak przecież nie tylko ryżu – wiele pułapek czyhało wówczas na nieostrożnych. Przykładowo sąd w Bytomiu skazał pewną wieśniaczkę na 20 marek kary za karygodne marnotrawstwo

popelnione przez jej... drób. W żołądku koguta, którego sprzedała, znaleziono przy patroszeniu, o zgrozo, jęczmień!²⁸. Ale co tam własny kogut. Można było też posiedzieć w odosobnieniu nawet za menu okolicznych gołębi. Właściciel młyna – p. Stybaniewicz z Sulmierzyc, został skazany na 5 dni odsiadki za przestępcze zachowanie gołębi podskubujących zboże we młynie²⁹.

Końcówka 1916 roku przyniosła w końcu trochę oddechu... i smaku. W październiku zezwolono bowiem na wypiekanie chleba i bułek bez dziwnych domieszek, zezwolono również na podsypywanie czystą mąką przy zagniataniu ciasta, gdyż Rada związkowa znienacka odkryła, iż część z niej wgniata się w ciasto, a więc się nie marnuje³⁰. Mniej więcej w tym samym czasie nasz plotkujący „Wielkopolanin” donosił też za „Berliner Tageblatt”, że będzie więcej mąki na Gwiazdkę, albowiem planowane jest dodatkowe rozdzielenie mąki osobom prywatnym na pieczywo świąteczne³¹. Dodatkowo od stycznia do maja spodziewane były wielkie zapasy fabrykatów zup, makaronów, kasz³².

Niestety, najwyraźniej i ta zapowiedź była obietnicą bez pokrycia. Przez cały grudzień pani Otylii udało się nabyć jedynie jedno opakowanie mączki ryżowej, sześć opakowań makaronu i dwa opakowania kaszki perłowej. Również obietnica wielkich zapasów makaronów i kasz była trochę na wyrost. Nie wspomniała bowiem o powiązanim z nią kolejnym wzroście cen. W marcu 1917 roku jedno opakowanie mąki kartoflanej kosztowało panią Otylię już jedną markę. Ostatecznie jednak w ciągu całego roku zakupiła 20 opakowań mąk różnych za łączną kwotę 69 marek, a kasz, płatków owsianych i makaronów – za ponad 53 marki.

* * *

Na szczęście, jak wiadomo, nie samą mąką człowiek żyje. Pani Otylii do życia wyraźnie niezbędna była kawa.

W okresie od listopada 1914 roku do sierpnia 1918 roku nabyła jej za łączną kwotę 271 marek. Najczęstszym gościem w koszyku była kawa Kathreiner zwaną kawą Kneippa (czyli wywar z prażonego siodu jęczmiennego – polecana przez księdza Kneippa w zastępstwie kawy naturalnej, którą uważał za szkodliwą dla zdrowia). Kawa Ka-

²³ „Kurier Poznański” 1915, nr 80, s. 3; „Wielkopolanin” 1915, nr 81, s. 3.

²⁴ „Goniec Wielkopolski. Najtańsze i najstarsze pismo codzienne dla wszystkich stanów” (dalej: „Goniec Wielkopolski”) 1915, nr 287, s. 3; „Wielkopolanin” 1915, nr 294.

²⁵ „Wielkopolanin” 1916, nr 117, s. 3.

²⁶ „Wielkopolanin” 1916, nr 100, s. 3.

²⁷ „Kurier Poznański” 1915, nr 95, s. 2.

²⁸ „Dziennik Poznański” 1915, nr 110, s. 3.

²⁹ „Dziennik Poznański” 1915, nr 203, s. 3.

³⁰ „Wielkopolanin” 1916, nr 229, s. 3; „Wielkopolanin” 1916, nr 281, s. 3.

³¹ „Wielkopolanin” 1916, nr 269, s. 3.

³² „Wielkopolanin” 1916, nr 281, s. 3.



Ryc. 2. Historyjka reklamowa margaryny Clever Stolz. Ze zbiorów T. Gaszyńskiego



Ryc. 3. Reklama ryżu Hoffmann. Ze zbiorów T. Gaszyńskiego



Ryc. 4. Reklama kawy Kornfrank Tante. Ze zbiorów T. Gaszyńskiego



Ryc. 5. Reklama kawy i przyprawy Francka. Ze zbiorów T. Gaszyńskiego



Ryc. 6. Reklama oleju. Ze zbiorów T. Gaszyńskiego



Ryc. 7. Reklama czekolady mlecznej Dredo. Ze zbiorów T. Gaszyńskiego



Ryc. 8. Reklama herbaty Inhoffen's Tee. Ze zbiorów T. Gaszyńskiego

threinerą doprawiana domieszką Francka (ceniona przyprawa ze znakiem firmowym młynka do kawy) była uznawana za najzdrowszą i najsmaczniejszą recepturę. Oprócz niej w koszyku spotykamy kawę paloną i mieloną Francka, głównie na bazie cykorii oraz figową Otto Webera. W roku 1918 jedynym nabywanym rodzajem kawy były już tylko mieszanki kawy palonej.

Powszechnie wówczas uważano, że kawa „roźjaśnia umysł i krzepi ducha”, pani Otylia najprawdopodobniej podawała ją na śniadanie oraz podwieczorek. Często doprawiała ją cykorią – kupowaną w bardzo dużych ilościach. Niestety, nie zawsze mogła nasza bohaterka cieszyć się wspaniałą, aromatyczną kawą.

W listopadzie 1915 roku dodatkową rozrywkę zaserwował bowiem wszystkim kanclerz Rzeszy, zarządzając spis zapasów kawy, herbaty i kakao³³. Do spisu zobowiązany był każdy, kto posiadał więcej niż 20 funtów kawy lub 5 funtów herbaty. Karą za niewykonanie spisu było sześć miesięcy więzienia lub 15 tys. marek grzywny³⁴ – tym samym kawa i herbata zrównały się w poziomie zagrożenia dla wysiłku wojennego Rzeszy z plackiem pszennym.

Z początkiem 1916 roku uaktywnił się natomiast Wojenny Wydział dla Kawy, Herbaty i Środków Zastępujących. Zabawny ten urząd zakazał sprzedaży kawy i herbaty temu, kto ma ponad 10 kg kawy surowej (niepalonej) lub ponad 5 kg herbaty. Kupcy detaliści posiadający mniejsze ilości mogli je wyprzedawać³⁵. Zakazy te wyjaśniają nam bardzo częste „kawowe” wizyty pani Otylii w naszym składzie kolonialnym. Przez cały 1916 rok kawa lądowała w koszyku równo 50 razy – mniej więcej raz w tygodniu. Raz tylko, gdy przez cały marzec 1917 roku nie można było dostać prawdziwej kawy, pani Otylia nabyła zamiennik, tzw. ersatz. Pół opakowania zamiennika kosztowało ją całą markę i chyba również sporo niesmaku, skoro na tej jednej próbie się skończyło.

Przypuszczalnie tę właśnie sytuację miał na myśli „Wielkopolanin”, pisząc, iż w wielu składach sprzedają bez kart surogaty kawy, wyrabiane rzekomo z artykułów niepodlegających aresztowi – po bardzo wygórowanych cenach. Gazeta przypominała, że sprzedaż surogatów kawy, zarówno krajowych, jak i zagranicznych, bez kart będzie ścigana i surowo karana³⁶.

Przepis na kawę Kneippa

Czubatą łyżkę zmielonego prażonego siodu jęczmiennego zalać szklanką wody, zagotować i gotować ok. 5–10 min. pod przykryciem.

Podawać z mlekiem, cukrem, miodem³⁷.

Oprócz kawy częstym nabytkiem bywało kakao, m.in. holenderskie Van Houten. W okresie od lipca 1916 roku do lutego 1918 roku wydano na nie prawie 53 marki. Tak jak pozostałe produkty – kakao pani Otylia nabywała często, ale w niewielkich ilościach. Konieczność spowiadania się kanclerzowi z posiadania większej ilości tej niebezpiecznej substancji skutecznie odstraszała od robienia zapasów.

Zdecydowanie rzadziej w naszym zaprzyjżnionym koszyku znajdowała swoje miejsce herbata. Po raz pierwszy widzimy ją na kartach Klady w listopadzie 1916 roku i aż do listopada 1918 roku spotykamy ją tylko dziesięć razy, czyli pięciokrotnie rzadziej niż kawę. W tym okresie wydano na herbatę jednak aż 88 marek. Spory ten wydatek – jest uzasadniony, w lipcu 1916 roku funt lepszej herbaty kosztował 8 marek, a w opakowaniu 5 fenigów drożej. Przewidywano wówczas jednak dalszy wzrost cen, a i zniknięcie towaru z rynku – wskutek zakazu wywozu herbaty ze Szwecji³⁸.

W miarę dostępna była Tee-bombe (bomba herbaciana), czyli sporej wielkości woreczek batystowy z rozmieloną herbatą znanej już wówczas marki Teekanne. Woreczek, traktowany jako najpiękniejszy dar wojenny, żołnierze wieszali w kotle polowym i po paru minutach delektowali się pysznym, rozgrzewającym i aromatycznym napojem. Jedna bomba (porcja litrowa) kosztowała 10 fenigów – a z wysyłką listem polowym jedną markę więcej³⁹.

W połowie 1917 roku spodziewano się natomiast zakazu sprzedaży wszelkich napojów alkoholowych, pojawiały się też ostrzeżenia o możliwej konfiskacie rumu i araku, „o ile się okaże, że nie będą dostatecznie pokryte zapotrzebowania władzy wojskowej”⁴⁰. Arak był wówczas bardzo popularnym napojem dodawanym do herbaty, używanym do przyrządzania ponczu, polewano nim również słodkie desery, by je podpalić przed podaniem na stół. Nasza przekorna pani Otylia właśnie wtedy udała się czterokrotnie na zakupy i nabyła sporą

³³ „Poradnik Gospodarski. Pismo Tygodniowe” 1915, nr 48, s. 4; „Wielkopolanin” 1915, nr 294, s. 3.

³⁴ „Goniec Wielkopolski” 1915, nr 290, s. 3.

³⁵ „Wielkopolanin” 1916, nr 88, s. 3.

³⁶ „Wielkopolanin” 1917, nr 176, s. 3.

³⁷ http://www.wikikuchnia.org/przepisy/Kawa_Kneippa (dostęp: 29.03.2016).

³⁸ „Wielkopolanin” 1916, nr 172, s. 3.

³⁹ „Dziennik Poznański” 1914, nr 277, s. 6.

⁴⁰ „Wielkopolanin” 1917, nr 123, s. 3.

ilość araku za 12 marek 25 fenigów – utrudniając tym samym władzy wojskowej pokrycie jej potrzeb. Dla porównania wydatki na arak przez cały 1916 rok wyniosły ją 17 marek 40 fenigów – co świadczy o wysokiej sile przekonywania ówczesnej prasy lub o sile przekory naszej bohaterki.

Oprócz araku wydatki na alkohole w okresie od roku 1914 do roku 1918 objęły trzy butelki piwa, nalewkę dereniową, poncz oraz wódkę z likierem nabywaną tuż przed Wielkanocą, przypuszczalnie z myślą o wypiekach.

* * *

A skoro o słodyczach mowa... kto nie lubi czekolady? Na pewno nie nasza zaprzyjaźniona dama. Przez cały 1916 rok wydatek na samą czekoladę, zarówno w tabliczkach, jak i do gotowania, przekroczył 16 marek. Sporą pozycję w budżecie stanowiły również wydatki na karmelki, w tym szwajcarskie i lodowe, trufle, wafle wiedeńskie i drezdeńskie, keksy angielskie, puddingi, galaretki i oczywiście ulubione toruńskie pierniki Katarzynki.

Czekolada nie była chyba zresztą tak niewinna, jak by się to wydawało. W grudniu 1916 roku władze wojskowe dokonały bowiem aresztowania czekolady. Wraz z nią aresztowane zostały kakao, owsianka z bananami i masa czekoladowa⁴¹, czyli prawdziwi mali zbrodniarze. W efekcie aż do czerwca kolejnego roku nasza Otylia musiała się obejść bez swojego przysmaku – co poskutkowało szalonym zakupem paru tabliczek za prawie 7 marek już po uwolnieniu słodyczy z aresztu.

Czekolada była wówczas nie tylko winna, ale również niebezpieczna. Niewłaściwa znajomość z nią potrafiła zaprowadzić przed sąd. W lutym 1917 roku toczył się proces w Berlinie o dwie tabliczki czekolady. Architekt Glade kupił kilka tabliczek, aby je wysłać znajomym przebywającym na polu walki. Dwie, które mu zostały, sprzedał swemu przyjacielowi Mahlerowi po 2 marki. Mahler odstąpił je pewnemu inżynierowi po 2 marki 50 fenigów, w wyniku czego ten zaskarżył go o lichwę i przekroczenie przepisów. Nieszczęśnik musiał zapłacić 20 marek za to, że nie zaopatrzył sprzedanej czekolady w taką cenę, jaką nakazuje rozporządzenie. Sąd jednak w końcu uznał oskarżenie o lichwę za bezpodstawne⁴².

Ukochane toruńskie „Katarzynki” firmy Weese pani Otylia kupowała tradycyjnie od połowy listopada do końca grudnia. Przypuszczalnie stanowiły

część poczęstunku imienninowego dla gości naszej bohaterki oraz część składową wypieków świątecznych. Asortyment dostępnych wówczas wyrobów z piernika, zarówno toruńskich, jak i kostrzyńskich, obejmował jeszcze oprócz „Katarzynek” ok. 90 innych rodzajów pierników, które znakomicie podtrzymywały dawne piernikarskie tradycje. Tym boleśniej musiała dać się we znaki Gwiazdka roku 1917, gdy dyrektorium zbożowego urzędu Rzeszy zakazało wydawania mąki do pieczenia pierników i biszkoptów. Fabryki pierników nie mogły więc dostarczyć swoich wyrobów na święta⁴³. Smutna i dziwna ta pierwsza Gwiazdka bez pierników musiała się wydać i naszej bohaterce, i reszcie Wielkopolan.

W kolejnym roku wojenny urząd żywnościowy zabrał się jeszcze za inny niebezpieczny produkt żywnościowy – zakazano mianowicie wyrobu cukierków z cukru innego niż dostarczany przez państwowy urząd⁴⁴. Dobrze, że to już był październik 1918 roku, bo nie wiadomo, do czego urząd żywnościowy jeszcze by doszedł.

Ciasta jednak pani Otylia piekła samodzielnie – tak było bezpieczniej i smaczniej, co nie oznacza oczywiście, że łatwiej. W hierarchii jej wielkopolanocnych wypieków pierwsze miejsce zajmowały baby, ciasta wymagające przecież najlepszej mąki. W kwietniu 1918 roku nasza dama nabyła wreszcie upragnioną i tak długo niedostępną wyborową, bielutką mąkę pszenną za 3 marki 45 fenigów, jajka za 12 marek. Później musiała je utrzeć z cukrem, doprawić szafranem rozpuszczonym w wódce i utłuczoną w móżdżerze wanilią. Z pewnością dodała zmielone migdały i ogromne, najpiękniejsze rodzynki – wydłubywane później przez rozbawione wnuki.

Tradycyjnym wypiekami na wielkopolskim stole był też makowiec. Pani Otylia najwyraźniej również piekła go sama, zwłaszcza przed Gwiazdką – świadczą o tym zwiększone grudniowe zakupy maku, w tym białego i szarego. W grudniu mak był ponadto wykorzystywany do makielek przyrządzanych na różne sposoby – z bakaliami, miodem, mlekiem i cukrem. Czekolada, ostatnio widywana pod ścisłym aresztem, miód, proszki do pieczenia, w tym proszki „Dr. Oetkera”, karmelizowane skórki pomarańczy kupowane w grudniu w większej ilości przypuszczalnie posłużyły do upieczenia pierników na miodzie, wielkich ciemnych miodowników z cykatą i migdałami i mniejszych, czekoladowych murzynków nadziewanych orzechami oraz małych

⁴¹ „Wielkopolanin” 1916, nr 281, s. 3.

⁴² „Wielkopolanin” 1917, nr 35, s. 3.

⁴³ „Wielkopolanin” 1917, nr 261, s. 3.

⁴⁴ „Goniec Wielkopolski” 1918, nr 242, s. 3.

pierniczeków zawieszanych na pachnącej, sięgającej pod sufit, jodle.

Przepis na piernik z marchwi (wojenny)

Funt marchwi utartej, surowej, funt mąki i pół funta cukru, 1 jajko, łyżeczka sody oczyszczonej, łyżeczka korzeni (cynamon, goździki, skórka pomarańczowa) – wszystko razem zgnieść, rozwałkować i ułożyć w formę, najlepiej podłużną od placków, którą podsypać mąką. Odpiec w dość gorącym piecu na rumiano⁴⁵.

Do wypieków niezbędny był cukier. Był również cennym rarytasem – niełatwo dostępnym i bardzo drogim. W roku 1914 kilogram cukru kosztował przeciętnie około 64 fenigów – drożej od ceny z roku 1910 jedynie o ok. 16 fenigów⁴⁶. Jeszcze w listopadzie pani Otylia nabyła sporą ilość cukru pudru, przypuszczalnie z myślą o gwiazdkowych wypiekach. Potem jednak, aż do lipca kolejnego roku – gdy w naszym zaprzyjaźnionym składzie kolonialnym pojawił się cukier w kostkach – mogła kupić jedynie farynę, wilgotną, jasnobrązową, nierafinowaną mączkę cukrową, która nie smakowała nikomu.

Lepiej pod tym względem wyglądał rok 1916. Cukier pojawiał się w sprzedaży częściej, aczkolwiek zazwyczaj był to cukier II kategorii. Jeszcze w lutym 1916 roku „Wielkopolanin” donosił, że ceny cukru w detalu nie powinny ulec zwiększeniu⁴⁷. Nasz koszyk to potwierdza, cukier trzymał cenę aż do sierpnia – kiedy to po prostu zniknął ze składów. Spodziewano się wówczas, że z powodu braku cukru dozwolona zostanie sprzedaż sacharyny, wyrobianej ze smoły pochodzącej z węgla kamiennych⁴⁸. Na to jednak pani Otylia, nauczona próbą z ersatzem kawy, nie dała się nabrać – sacharyny nie kupiła ani razu.

W październiku 1916 roku plotkujący „Wielkopolanin” donosił, że za parę dni ma nadejść do Poznania wielka przesyłka cukru, więc znowu będzie go dość⁴⁹. Plotka jak zwykle plotką pozostała, przez cały 1917 rok cukier był jeszcze rzadszym zjawiskiem niż w roku poprzednim. W naszym wronieckim składzie kolonialnym dał się wrzucić do koszyka pani Otylii zaledwie cztery razy. Jeszcze rzadziej znalazł się w koszyku w roku 1918 – tylko dwa razy.

Nie dziwią więc wojenne, dydaktyczne wierszyki:

(...)
Pić herbaty drugą szklanke,
Gdyś do kogo przyszedł w gości
I brać cukru jak przed wojną
To szczyt... niedelikatności
(...)

Lach⁵⁰

Cukier na szczęście dało się zastąpić miodem. W latach 1917–1918, pod nieobecność cukru, nasza bohaterka zakupiła zwiększoną ilość miodu za ponad 24 marki.

Uniwersalną przyprawą była też sól – nadawała smak i aromat, ale służyła również do konserwacji między innymi mięs, ryb, nabiału czy ogórków. Przez cały 1915 rok nasza bohaterka nabyła aż 113 opakowań soli – płacąc niewiele ponad 13 marek. Na razie nie musiała się martwić o jej dostępność. Martwić się pewnie zaczęła, gdy w kwietniu 1916 przedstawiciel królewskich salin w Schönebeck uspokajał, że soli jest w Niemczech pod dostatkiem. Dotychczas nigdy soli nie zabrakło i miało nie zabraknąć⁵¹. Oczywiście, zabrakło jej niemal natychmiast, przypuszczalnie z powodu trudności transportowych. Przez cały rok 1916 w naszym koszyku znalazło się zaledwie 14 opakowań soli – za cenę niecałej marki.

Mimo wszystko dotąd tania sól podróżowała w połowie 1917 roku z powodu znacznego podwyższenia kosztów przewozu, cen węgla oraz zaprowadzenia na nie podatku⁵². Jednocześnie przyprawa ta w wielkopolskich składach była jeszcze rzadszym gościem – z uwagi na trudności w zdobyciu wagonów do jej transportu. Pani Otylii aż do listopada nie udało się jej nabyć ani razu. Chcąc zapobiec panice, magistrat poznański sprowadził wówczas 90 wagonów soli. Dla sprawiedliwego podziału miała być sprzedawana na kartki cukrowe⁵³. W naszym koszyku wylądowało wówczas aż 15 opakowań, które ratowały sytuację do stycznia 1918 roku, kiedy to znów sól pojawiła się we wronieckim składzie w większej ilości.

Warto także zwrócić uwagę na nabywane przez panią Otylię typowe przyprawy kolonialne. Stanowiły one wówczas dość drogi, ale istotny dodatek wzbogacający smak potraw. W koszyku miały swoje stałe miejsce korzenie angielskie, liście

⁴⁵ „Wielkopolanin” 1917, nr 144, s. 3.

⁴⁶ *Statystyczna karta historii Poznania*, op. cit., s. 78.

⁴⁷ „Wielkopolanin” 1916, nr 45, s. 3.

⁴⁸ „Wielkopolanin” 1916, nr 106, s. 3.

⁴⁹ „Wielkopolanin” 1916, nr 249, s. 3.

⁵⁰ „Gazeta Toruńska” 1917, nr 256, s. 4.

⁵¹ „Wielkopolanin” 1916, nr 90, s. 3.

⁵² „Wielkopolanin” 1917, nr 181, s. 3.

⁵³ „Wielkopolanin” 1917, nr 263, s. 3.

bobkowe/laurowe, cynamon, kwiat i gałka muszkatołowa, goździki, imbir, karolek, czyli kminek, ćwikła, musztarda, ocet winny i oliwa prowansalska sprowadzana z Włoch, oleje i olejki cytrynowe, korzenne przyprawy do pierników, cykata (karmelizowane skórki owoców cytrusowych), esencje octowe i cytrynowe „Elba”, pieprz we wszystkich dostępnych kolorach i wanilia.

Ceny przypraw korzennych osiągały jednak niewyobrażalne granice. Musztarda francuska sprzedawana w szklankach w roku 1915 kosztowała 40 fenigów, trzy lata później już 3 marki. Podobnie wyglądała sytuacja z pieprzem – w marcu 1915 roku w naszym koszyku znalazła się ¼ funta pieprzu czarnego za 40 fenigów i ¼ funta pieprzu białego za 60 fenigów, dwa lata później za tę samą ilość pani Otylia zapłaciła 7 marek 25 fenigów za pieprz czarny i 13 marek 50 fenigów za biały.

Bezcenny pieprz również stał się więc bohaterem pouczającego wierszyka:

(...)
Wieprzowiny cena rośnie
A już pieprzu bez litości
Nie pieprz Pietrze pieprzem wieprza
Bo to szczyt jest rozrzutności
(...)

Lach⁵⁴

Zauważalną pozycją w domowym budżecie były buliony, w zdecydowanej większości firmy Maggi, zarówno w płynie, jak i w kostkach, oraz zupy „Maggi” w buteleczkach i luźne. Koszt zakupu niewielkich żółtych kosteczek lub flakoników o długich wąskich szyjach – w okresie od listopada 1914 roku do marca 1918 roku – wyniósł ponad 64 marki.

W przypadku „Maggi” mogła pani Otylia liczyć na jej jakość, z innymi kostkami nie było chyba tak różowo. W październiku 1917 roku kostkami bulionowymi zainteresował się bowiem nawet pruski minister spraw wewnętrznych, który w porozumieniu z cesarskim urzędem zdrowotności wydał specjalne rozporządzenie ustanawiające wymaganą ich zawartość – czyniąc to w ramach walki przeciw małowartościowym kostkom⁵⁵. Nic dziwnego, w roku 1915 podczas procesu w Berlinie właścicielka firmy Karthaus i Petrzelke produkującej „najlepszy rosół”, zeznała, iż na 3,5 tys. kostek zużywa: 20 kg soli, 2,5 kg cukru, ćwierć funta farby, 3 kg „korzeni Maggi”, 2 kg tłuszczu i 2 kg solonego

mięsa kurzego. Kosztował ją wówczas ten ciekawy skład 600 marek grzywny za fałszowanie artykułów spożywczych⁵⁶.

Kostka firmy Maggi była również swoistą bohaterką roku 1918. Otóż na kupon nr 9 można było kupić ją za 10 fenigów. Tak – jedną kostkę i to z wcześniejszym na nią zapisem w składach kupieckich⁵⁷.

* * *

Ważną pozycję w budżecie stanowiły wydatki na ryby. Pani Otylia nabywała duże ilości słonych i wędzonych śledzi, matjasów, łososi, sardeli holenderskich, francuskich lub brabanckich, francuskich sardynek w oliwie, kielskich sielawek, szczupaków, węgorzy oraz dość rzadkich minóg.

Na przełomie 1914/1915 roku rybka była jeszcze dość tania – za 10 śledzi nasza bohaterka płaciła jedną markę, za jednego węgorza 1 markę 75 fenigów. Potem było już tylko coraz gorzej.

Paradoksalnie w maju 1915 roku miał miejsce tak obfity połów śledzi, jakiego od lat nie pamiętano. Rybacy śledzie wyrzucali z wody szuflami, oddając je dalej w cenie fenig za funt. „Kurier Poznański” wyrażał wówczas naiwną nadzieję, iż spowoduje to obniżenie cen ryb⁵⁸. Przewidując większą dostawę, komitet niesienia pomocy ludności w Królestwie Polskim wysłał nawet z Poznania do głodującej Łodzi sześć wagonów ze śledziami, część rozdana miała być bezpłatnie, część po bardzo niskiej cenie⁵⁹.

Oczywiście już w lipcu – mimo głoszonych obfitych połowów – śledzie ogromnie podrożały. Jeszcze niedawno jeden śledź kosztował w Poznaniu 15 fenigów – taką samą cenę płaciła nasza Otylia w podpoznańskich Wronkach, w lipcu – 20 fenigów. Winowajcą tego stanu ogłoszono głównego dostawcę śledzi, czyli Holandię, która żądała 95 marek za beczkę (ok. 600–650 śledzi) w sprzedaży hurtowej. Podczas jednej z aukcji w Szczecinie płacono nawet 135 marek za beczkę, czyli jeden śledź za 26–28 fenigów. Inne dostępne gatunki śledzi były towarem mniej wartościowym, pochodzącym ze Szwecji i Norwegii, ale i one kosztowały ok. 65 marek za beczkę⁶⁰.

⁵⁶ „Dziennik Poznański” 1915, nr 202, s. 3.

⁵⁷ „Kurier Poznański” 1918, nr 215, s. 3; „Goniec Wielkopolski” 1918, nr 216, s. 3.

⁵⁸ „Kurier Poznański” 1915, nr 112, s. 3.

⁵⁹ „Kurier Poznański” 1915, nr 120, s. 3.

⁶⁰ „Kurier Poznański” 1915, nr 171, s. 3.

⁵⁴ „Gazeta Toruńska” 1917, nr 256, s. 4.

⁵⁵ „Wielkopolanin” 1917, nr 249, s. 3.

Niedługo później prasa skarżyła się na wzrost ceny śledzia o niemal 100%⁶¹. W rzeczywistości nie było chyba jednak aż tak dramatycznie, jako że nasza bohaterka jeszcze w grudniu 1915 roku nabywała śledzia w cenie równej tej z lipca, czyli po 20 fenigów. W październiku 1916 roku prasa donosiła już, że handel śledziami ustał zupełnie⁶². W przypadku naszej bohaterki prawie zupełnie: w listopadzie kupiła trzy śledzie, płacąc za nie aż 1 markę 35 fenigów, a w grudniu cztery śledzie za 2 marki 40 fenigów.

W maju 1916 roku – opiewano z kolei bardzo obfity połów łososi nad Bałtykiem. Ucząc się jednak na własnych błędach, tym razem prasa nie miała tak optymistycznych oczekiwań w stosunku do przewidywanej ceny i dostępności tej rybki, jak w przypadku śledzia⁶³. I słusznie – rok wcześniej cena łososia goszczącego w naszym koszyku odrobinę przekraczała 3 marki, w roku 1916 łosoś poszedł w ślady śledzia i w wyniku owych obfitych połowów zniknął z rynku, a przynajmniej z naszego koszyka. Ponadto w grudniu świeże ryby zostały... tak, aresztowane. Władze, aby zastopować nadużycia, przekazały bowiem handel rybami centralnym towarzystwom zakupu. Z przepisów tych wyłączono tylko świeże śledzie i świeże szproty⁶⁴.

Owa centralizacja handlu rybami praktycznie wymiotła z rynku świeże ryby, i to pomimo tego, że umowami z zagranicą osiągnięto tańszą o 2/3 dostawę śledzi⁶⁵. Miały również stanieć ryby wędzone, czyli bydlinki⁶⁶, sielawki, łupacze itp., gdyż wielkim wędzarniom zabroniono kupować je bezpośrednio od rybaków⁶⁷. W naszym koszyku znalazła się jednak oprócz właśnie wędzonych sielawek duża ilość sardeli i sardynek. Śledzi nabyto zaledwie 19 sztuk – a więc ilość jak na cały rok znikomą. Pani Otylia mogła się za to pocieszyć rzadkimi minogami.

Sielawki powodowały zresztą wówczas niezłe awantury na poznańskich ulicach. Mimo zapowiedzi o rychłej obniżce ich cen – oczywiście podrożały ogromnie, o ile w ogóle były dostępne. W środę popielcową w 1917 roku obiegła miasto radosna nowina, że po południu rozpocznie się w składach ich sprzedaż w trzyfuntowych pudełkach po 2 marki 85 fenigów. Przed składami ustawiały się tłumy,

w tym i przed składem Reppicha przy ulicy Szkolnej – tylko sielawek w tym doborowym towarzystwie zabrakło. Niecierpliwą klientelę uspokajano, iż dwie sprzedawczynie pojechały wózcikiem po ryby i niedługo wrócą. Niestety dziewczęta wiozące sielawki zostały po drodze zatrzymane przez konkurencyjny tłum i zmuszone, mimo dzielnego oporu, do sprzedaży na miejscu⁶⁸.

W Legnicy natomiast w 1917 roku życie już zdecydowanie przerosło kabaret. W „Liegn. Tag. gebł.” zamieszczono ogłoszenie o treści: „samotna osoba poszukuje dwóch współników do śledzia (na znaczek żywnościowy nr 40)”. Zdumiewający ten anons ma równie zdumiewające wyjaśnienie. W Legnicy bowiem otrzymywało się jednego śledzia na trzy osoby⁶⁹.

A gdzie zniknęły śledzie? No cóż... w grudniu 1916 roku w „Deutsche Tag. Ztg.” zamieszczono następujące ogłoszenie: „Mam do sprzedania 100 beczek śledzi na paszę. Obejrzyć je można u Heymanna Podolskiego we Wronkach”⁷⁰. Tak jakby po sąsiedzku...

* * *

Uznaniem pani Otylii cieszyły się sery traktowane wówczas jako forma deseru – nabywała duże ilości sera krajowego, camembert, edamskiego, holenderskiego, szwajcarskiego, tyłzyckiego oraz małych, okrągłych serków. W samym 1915 roku na potrzeby domu nabyła sera za ok. 23 marki.

Życie jak zwykle utrudniła jej rada związkowa, uchwalając na początku 1916 roku ceny maksymalne na ser krajowy⁷¹. Problem z cenami maksymalnymi polegał bowiem na tym, że z chwilą ich ustanowienia artykuły im podlegające zniknęły z rynku, lichwa czasów wojny miała się bowiem znakomicie⁷². Sery zagraniczne niepodlegające przepisom zaczęły królować pod nieobecność serów krajowych, również ich cena brylowała w koszyku. Cwiartka sera szwajcarskiego we wrześniu 1915 roku kosztowała 50 fenigów, w lutym 1916 roku lekko ponad jedną markę. Od połowy roku cenom maksymalnym podlegały już także wszystkie gatunki sera zagranicznego (w tym lubiane przez panią Otylię szwajcarski i holenderski), o ile nie były przepisowo oznaczone jako sery zagraniczne⁷³. Nasz zaprzyjaźniony wroniecki skład

⁶¹ „Wielkopolanin” 1916, nr 123, s. 3.

⁶² „Wielkopolanin” 1916, nr 249, s. 3.

⁶³ „Wielkopolanin” 1916, nr 123, s. 3.

⁶⁴ „Wielkopolanin” 1916, nr 269, s. 3.

⁶⁵ „Wielkopolanin” 1916, nr 271, s. 3.

⁶⁶ Bydlinek – rodzaj śledzia wędzonego (niem. *Bückling*).

⁶⁷ „Wielkopolanin” 1916, nr 276, s. 3.

⁶⁸ „Dziennik Poznański” 1917, nr 44, s. 3.

⁶⁹ „Wielkopolanin” 1917, nr 206, s. 3.

⁷⁰ „Wielkopolanin” 1916, nr 289, s. 3.

⁷¹ „Wielkopolanin” 1916, nr 12, s. 3.

⁷² „Dziennik Poznański” 1915, nr 165, s. 3.

⁷³ „Wielkopolanin” 1916, nr 104, s. 3.

kolonialny musiał oklejać sery specjalną przepaską papierową lub etykietą albo znaczkiem.

Jeszcze dramatyczniej przedstawiała się kwestia masła i jaj. Już w grudniu 1914 roku magistrat poznański usiłował łagodzić drożyznę, ustanawiając ceny maksymalne. Za funt świeżego masła trzeba było płacić ok. 2 marki, a za mendel jaj ok. 2 marki 50 fenigów⁷⁴. I rzeczywiście, nasza bohaterka kupiła na początku 1915 roku masło, płacąc 90 fenigów – Klada nie precyzuje wagi zakupionego produktu, możemy się jednak domyślać, iż było to około pół funta.

Wkrótce potem masło stało się bardzo rzadkim, ale za to cennym gościem w składach. Poznań otrzymywał bowiem z centrali w Berlinie tylko 1/4 tego, co mu się należało⁷⁵. Nie lepiej było z dostawą od lokalnych wytwórców. Burmistrz Odolanowa wręcz groził tym, którzy masła do magistratu nie odstawią, że im nie da kartek na naftę ani na mydło, ani nie podpisze wniosków o urlop – chyba że przyniosą zaświadczenie od sołtysa, że nie posiadają bydła dojnego⁷⁶.

Masło było za to bohaterem dnia ówczesnej prasy. W listopadzie 1917 roku jedna z gazet doniosła, iż pewien chłopiec w szkole świętomarcinowskiej przyniósł sobie na śniadanie chleb posmarowany na centymetr masłem. Czasopismo ze zgrozą twierdziło, że masło ważyło przeszło ćwierć funta. Jednak w następnym numerze sprostowano, iż chłopiec bez zgody matki zabrał masło przeznaczone na tydzień dla całej rodziny⁷⁷.

Najpopularniejszym zamiennikiem nieobecnego masła była margaryna, w tym bardzo popularne Vitello, Palmin, Clever Stolz i migdałowo-mleczna Sanella, i jej cena jednak szybowała w górę. Przykładowo w listopadzie 1914 roku w naszym koszyku znalazły się dwa opakowania Vitello w cenie 1 marki 80 fenigów, pół roku później w tej cenie pani Otylia mogła nabyć tylko jedno opakowanie.

Jajka jednak były masło na głowę – pomimo okresowych zapewnień o nadchodzącej obniżce cen, gdyż „administracja wojskowa pokryła swoje zapotrzebowanie” na jaja⁷⁸ – systematycznie drożały, aż w kwietniu 1918 roku pani Otylia nabyła dwa mendle, płacąc za nie niebagatelną kwotę 12 marek. Sytuacji na froncie jajecznym nie poprawił nawet utworzony pod koniec 1916 roku pruski urząd sprzedaży jaj, który celem „uregu-

lowania zużycowania jaj” przeznaczył najwyżej dwie sztuki na osobę na tydzień⁷⁹. Dla porównania w Berlinie były to trzy, a nawet cztery jajka na osobę⁸⁰. W wyniku jego działalności w 1917 roku w Poznaniu i okolicy kurze rarytasy zniknęły na dobre, choć magistrat dalej zaopatrywał ludność w znaczki. „Wielkopolanin” dopominał się wówczas o pilną naprawę stosunków jajecznych – zwłaszcza że zbliżały się Zielone Świątki⁸¹.

Koty też nie miały łatwo. W lutym 1917 roku rozwodziel mleka został skazany na 25 marek kary za oddanie pewnej kobiecie kilka razy po pół litra mleka z przeznaczeniem dla jej kotów. Karą dla właścicielki futrzaków – za podanie im owego mleka – była grzywna w wysokości 75 marek i opłacenie kosztów procesu. Nie wiadomo tylko, jaką karę ponieśli koty⁸².

* * *

W sierpniu 1916 roku Towarzystwo Wojenne Konserw Owocowych i Marmolady wzięło się z kolei za prześladowanie powideł z jednego rodzaju owocu. Wyznaczono ceny maksymalne za funt, a tym samym zaryzykowano zniknięciem powideł z rynku. Najwyżej wyceniono powidła truskawkowe i malinowe, niemalże pogardliwie traktując śliwkowe – wyceniając je tylko na połowę ceny tych wcześniejszych. W połowie 1917 roku wcześniejsza pogarda dla śliwek przekształciła się w zakaz wyrabiania z nich powideł bez zgody wspomnianego urzędu do spraw owoców. W zamian zezwolono za to łaskawie na suszenie gruszek do własnego użytku⁸³.

Przy sprzedaży powideł w puszkach blaszanych mógł nasz wroniecki skład podwyższyć cenę o 15 fenigów na funcie, w cennych słoikach szklanych – aż o 20 fenigów⁸⁴. Na razie chyba jednak nie bardzo miał co podwyższać, zgodnie z oczekiwaniami po wprowadzeniu cen maksymalnych powidła zniknęły z naszego koszyka do kwietnia kolejnego roku. Po koniec 1917 roku można było już szczęśliwie nabyć w Poznaniu na kartę nawet pół funta marmolady po 90 fenigów za funt⁸⁵. Według Klady wielmożna pani Otylia kupiła wówczas marmolady aż za 4 marki. W większej ilości stała

⁷⁴ „Dziennik Poznański” 1914, nr 283, s. 2.

⁷⁵ „Wielkopolanin” 1916, nr 249, s. 3.

⁷⁶ „Wielkopolanin” 1916, nr 276, s. 3.

⁷⁷ „Wielkopolanin” 1917, nr 266, s. 3.

⁷⁸ „Dziennik Poznański” 1915, nr 14, s. 3.

⁷⁹ „Wielkopolanin” 1916, nr 205, s. 3.

⁸⁰ „Wielkopolanin” 1917, nr 118, s. 3.

⁸¹ Ibidem.

⁸² „Dziennik Poznański” 1917, nr 44, s. 3.

⁸³ „Wielkopolanin” 1917, nr 208, s. 3; „Wielkopolanin” 1917, nr 210, s. 3.

⁸⁴ „Wielkopolanin” 1916, nr 189, s. 3.

⁸⁵ „Wielkopolanin” 1917, nr 279, s. 3.

się ona dostępna jednak dopiero w roku 1918, gdy nasza bohaterka wydała na nią przez rok ponad 46 marek.

Owoce, czy to w postaci powideł, czy też surowe, były popularną formą deseru, często zastępując wykwintne specjały. Do najczęściej nabywanych przez panią Otylię należały gruszki, śliwki francuskie i tureckie, pomarańcze, cytryny, owoce cytrusowe smażone w cukrze. Kłada wymienia też ogólnie owoc i owoc suszony, nie precyzując jego rodzaju. W koszyku znajdowały się również duże ilości orzechów włoskich, tureckich i amerykańskich, daktyli marokańskich, a przede wszystkim ogromne ilości rodzynek i migdałów. Stanowiły one nie tylko dodatek do ciast, ale i do sosów, mięs i ryb oraz były samodzielnymi deserami. Sam zakup rodzynek sułtańskich i korynckich oraz migdałów od listopada 1914 roku do grudnia 1918 roku wyniósł aż 224 marki.

Najszybciej pięły się w górę ceny orzechów. Pisma berlińskie donosiły, że niektórzy kupcy sprzedają orzechy laskowe w cenie 1 marki 5 fenigów za funt, inne składy biorą nawet 10 fenigów za jeden orzech⁸⁶. Za orzechy, kupowane wyłącznie w grudniu i w marcu, czyli przed świętami, zapłaciła pani Otylia w okresie 1914–1918 ponad 28 marek – niestety Kłada nie precyzuje zakupionej wagi bądź liczby w sztukach.

Warzyw w naszym składzie nie było dużo – nie stanowiły asortymentu kolonialnego. W wydatkach na żywność figuruje tylko groch i groszek. Przez cały rok 1915 pani Otylia nabyła sześć opakowań groszku – a więc ilość raczej niewielką. Podawała go jako dodatek do mięs oraz samodzielnie danie. Od sierpnia tego roku handel roślinami strąkowymi stał się jednak niedozwolony – groszek został kolejną aresztowaną ofiarą wojny. Karą za nielegalny kontakt z aresztantem była grzywna w wysokości 15 tys. marek lub niezbyt wygodny pobyt w celi aż do sześciu miesięcy⁸⁷.

W kolejnym roku władze wojskowe uwięziły się z kolei na kapustę – potrzebną wojsku, a podstępnie wykupowaną przez gospodarstwa domowe, zupełnie bez zrozumienia dla potrzeb wysiłku wojennego Rzeszy. Wiedzano już, że ceny maksymalne

w tym przypadku nie pomogą – w Wielkopolsce bowiem system cen maksymalnych zawiódł całkowicie właśnie przy warzywach i owocach. Zarządzono więc, że kapustę w ilościach powyżej 20 funtów może nabywać tylko kolejny zabawny urząd, mianowicie Urząd Centralny dla Kapusty⁸⁸.

W połowie 1917 roku Poznań odczuł jeszcze skutki pierworzoru janosikowego. Zabrakło mu, o dziwo, ziemniaków, gdyż musiał oddać część swoich zapasów innym miastom, a wszelkie starania magistratu, by w miejsce ziemniaków dostać mąkę, nie odniosły skutku⁸⁹. Rachuby magistratu, że warzywa i owoce pokryją braki w innych środkach spożywczych – zawiódły więc całkowicie.

* * *

A jednak... jeżeli ktoś myślał, że placek zniknie z domów, że z uwagi na wyznaczane dni bezmięsne zmniejszy się zapotrzebowanie na mięso, że można się obyć bez smarowania chleba masłem lub margaryną, był w błędzie. W wieczory przed dniami bezmięsnymi tłumnie wykupywano mięso w składach, nie było żadnej cukierni, w której placek nie byłby dostępny w większej ilości. Zamożniejsza część społeczeństwa nie wahała się posmarować chleba masłem czy margaryną, podać na deser trufle z pomarańczami i poczęstować kota mlekiem. Trywialna koalicja zakazów, ograniczeń i aresztowań produktów spożywczych nie powaliła Wielkopolan na kolana.

Było to co prawda życie na krawędzi, pełne ryzyka i emocji: czy dzisiejsza kawa będzie legalna również jutro? czy tym razem aresztują wafelki? a może kolejnym aresztantem będzie galaretkę? czy powidła z gruszek zagrożą bezpieczeństwu Rzeszy? czy kura zjadła jakieś ziarno i zadunuje właściciela? czy kot ma na wąsach ślady mleka?

Jeżeli się dobrze wczytamy w stronicę naszej Klady, przejrzymy zawartość dość zamożnego koszyka, któremu towarzyszyliśmy przez cztery wojenne lata – to usłyszymy głosy pradziadów. Opowiedzą nam taką małą historię schowaną w spłowiałych kartach, echo minionego stulecia.

⁸⁶ „Wielkopolanin” 1916, nr 234, s. 3.

⁸⁷ „Dziennik Poznański” 1915, nr 215, s. 2.

⁸⁸ „Wielkopolanin” 1916, nr 248, s. 3.

⁸⁹ „Wielkopolanin” 1917, nr 150, s. 3.